

Kronika tygodniowa.

Każdy ma swego mola, który go gryzie, tak przynajmniej powiada przysłowie, a przysłowia są ogólnie uznane za filozofię narodów. My, niestety, mamy tych moli aż za dużo, a na wytepienie ich szuka się środków najczęściej jednak nie prowadzących do celu, być może dlatego, że stosuje się je nieumiejętnie lub nieopatrnie.

Jednym z tych potworów, tak się nam dających we znaki, jest przede wszystkim drożyzna, rosnąca z dnia na dzień, bez względu na to, czy jest przednowek, czy okres czasu przed nim, czy też po nim. W przedwojennych czasach wiedzieliśmy o tem, że zaspokojenie codziennych potrzeb jest najtrudniejsze w czasie przednowku, przetrzymywało się go przecież jako tako, pocieszając się nadzieją, iż po żniwach sytuacja się poprawi. Po wojnie siosunki zmieniły się o tyle, iż przednowek trwa u nas rok cały, nadzieja poprawy odpada zaś zupełnie, bo wszystko jedno, udadzą się żniwa czy nie, w kraju da się zawsze odczuwać brak najważniejszych artykułów, które spekulanci wywożą za granicę.

Każdy z naszych rządów, ile ich mieliśmy dotychczas, zapowiadał zawsze głośno walkę z lichwą i drożyzną i wymyślał różne środki ochronne, te jednak, zamiast ją usunąć, zwykłe ją jeszcze bardziej potęgowały. Była to zatem walka z wiatrakami, robiąca czasem wiele chałasu, ale nie przynosząca wcale pożądanych skutków. Taki na przykład Urząd przywozu i wywozu, który miał za zadanie czuwanie nad tem, aby w kraju nie brakło najważniejszych artykułów, spełniał swe obowiązki w ten sposób, iż wydawał zezwolenia na wywóz za granicę tylko nadmiaru tych i owych produktów, kończyło się jednak na tem, że właściwie cały zapas uważany był za nadmiar, jechał sobie spokojnie do sąsiadów, a ci płacili za niego w swojej walucie, od naszej daleko lepszej, nawet na lepszym papierze drukowanej. To co pozostawało w kraju, rozkupowali konsumenci, przeliczując się wzajemnie, a producent zacierał ręce z radości i wypełniał swe worki monetą.

Nowy rząd generała Sikorskiego zapowiedział także drożyznie walkę na śmierć i życie, a owym św. Jerzym, mającym zdusić smoka lichwy i paska, jest nadzwyczajny komisarz do walki z lichwą w osobie pana Hartleba, świeżo powołanego na to ważne stanowisko. Słowa jego już słyszeliśmy, teraz chcielibyśmy widzieć jego czyny. Dziesięcioro przykazań, które mają stanowić wytyczną dla jego działalności, opublikowano już w prasie, brzmią one bardzo pięknie, choć są nadzwyczaj giętkie i łatwo je w różne strony wyginać, pesymiści odzywają się też coraz częściej, że gotów je spoikać ten sam los, co owe sławne dziesięcioro przykazań fizykału miejskiego w Krakowie, które najzupełniej zawiodły. Śmiertelność w naszym mieście nie tylko się nie zmniejszyła, ale zmusiła nawet zarząd miasta do postarania się o rozszerzenie cmentarza rakowickiego, aby obywatelom zapewnić wieczny spoczynek po doczesnej wędrówce na tym padole lichwy, paska i innych powojennych przyjemności.

Użyliśmy wyrażenia na „wieczny spoczynek” choć ono w tym wypadku nie powinno znaleźć zastosowania, na naszych cmentarzach chrześcijańskich o wiecznym spoczynku mogą bowiem mówić tylko uprzywilejowani, t. j. posiadający tak zwane „własne grobowce rodzinne”, czyli cmentarni kamienicznicy. Reszta, t. j. proletaryat cmentarny, musi być z góry na to przygotowany, że po latach mniej więcej dwudziestu kto inny zajmie miejsce, które uważali za swoje, chyba że w międzyczasie postarają się o nabycie na własność tych kilku łokci ziemi, składając w Kasie miejskiej odpowiednią takse, oczywiście dziś także siosunkowo wysoką, nie dla każdego zatem dostępną.

To jednak do rzeczy nie należy, choć prawdę mówiąc z treścią niniejszej kroniki ma ścisłą łączność, drożyzna bowiem i fatalne skutkiem jej odżywianie się przede wszystkim sfer umysłowo pracujących, z natury rzeczy słabszych fizycznie od oddających się pracy ręcznej, wpływają bardzo dodatnio na rozwój śmiertelności.

Uczy nas wprowadzić pan fizyk w swem dzieśnięciu przykazaniu sanitarnem, abyśmy mimo przeciwności nie upadali na duchu, na cóż jednak zda się ta rada, jeśli duch ten, choćby nawet bardzo silny tkwi w mdłym ciele, a ono ciągle woła: jeść!... Bardzo dosadna, ale też i bardzo smutną ilustracją obecnych siosunków jest zgon ś. p. Pawła Stwierni, zmarłego w Krakowie w ubiegłym tygodniu prawie z niedostatku, choć swem czynnym życiem dla dobra ogółu polskiego zasłużył sobie chyba na lepszy los. Kolejnictwo nasze ma mu wiele do zawdzięczenia, brał także żywy udział w życiu ogólnospołecznym, jako jeden z wybitniejszych członków byłego austriackiego parlamentu i wiceprezes Koła Polskiego we Wiedniu. Nie wiedzieć, czy płakać, czy się śmiać, jeśli się czyta i słyszy, że po kilkudziesięciu latach zawodowej ciężkiej pracy pobierał nieboszczyk tytułem emerytury zaledwie kilkadziesiąt tysięcy marek miesięcznie, co w dzisiejszych warunkach, zwłaszcza dla człowieka starszego i słabego, potrzebującego zatem pewnych wygód, stanowczo nie wystarczy.

Nowy pan komisarz walki z drożyzną i lichwą ma zatem przed sobą otwarte szerokie pole do rozwinięcia bardzo żywej działalności, aby ona jednak była skuteczną i przyniosła spodziewane owoce, powinno mu pójść na rękę i całe społeczeństwo i zabrać się wspólnymi siłami do tępienia tych szkodników społecznych, których się tyle u nas namnożyło we wszystkich sferach. Jak swojego czasu Stańczyk powiedział, że u nas lekarzy najwięcej, każdy bowiem lubi drugiemu radzić, tak znów teraz możemy śmiało przyjąć za pewnik, iż najliczniejszą kastę tworzą u nas paskarze i lichwiarze, a rekrutują się ze wszystkich sfer, od sierniogi wieśniaczki po cząwszy, na sobolowych futrach skończywszy. Pasek złączył u nas wszystkie stany, wyznania, narodowości i t. d.

Aby skutecznie z nim walczyć, musimy się zdobyć ze swej strony na trochę samozaparcia się i poświęcenia, które niezbyt może przyjemne dla niektórych jednostek, dla ogółu przecież może być ogromnie korzystnie. Przede wszystkim zatem powinno się omijać wszystkie te lokale, gdzie właściciel, kalkulując ceny, jak sam powiada w dolarach lub frankach, nie z dnia na dzień, ale kilka razy dziennie podnosi ceny. Takiemu panu z pewnością zmięknęłyby rura, gdyby przez tydzień nikt jego lokalu przemysłowego nie odwiedził. Ale na tyle solidarności społeczeństwo nasze nigdy się nie zdobędzie, zwłaszcza te z pośród niego jednostki, które same zajmując się paskiem i z bliźniego bez litości drą skórę, z groszem się nie liczą, bo za nich placą ich odbiorcy. A trudno chyba wymagać od baby wiejskiej, która przyniosła na targ, czy to drób, czy nabiał, czy też co innego, aby sprzedała komuś za przystępniejszą cenę, jeśli różne lichwiarki lub paskarki urządzają formalną licytację na te artykuły, byle je tylko posiąść. Wystarczy przejść się po targu w różnych porach dnia, a odnosi się to samo wrażenie, co na giełdzie. W godzinach porannych, gdy popyt jest największy, a podbijanie się wzajemne w cenach przez kupujące wre w całej pełni, pocziwił nas bracia i siostry ze wsi dyktują ceny zwykłe, odstraszające zwykłych śmiertelników, nieustępliwość ich maleje jednak w miarę, jak się targ zbliża ku końcowi, a przyniesiony ze wsi artykuł nie znalazł nabywcy. Jeden ze znajomych kronikarza przekonał się o tem sam na sobie. Chciał swej narzeczonej ofiarować piękny prezent na imieniny, ponieważ zaś artykuły spożywcze są dziś w każdym domu najmiej widziane, wybrał się na targ, gdzie wdrożył pertraktacje handlowe o sympatycznego koguta, który jak sprzedająca twierdziła, może z łatwością zastąpić w domu budzik, pieje bowiem z zadziwiającą regularnością i do tego bardzo melodyjnie codziennie o tej samej porze. Żądała też za niego ośmnaście tysięcy marek, co naszego znajomego podobnie jak i wielu innych, mających chęć nabycia, od kupna odstraszyło. Koło południa, wracając z biura do domu, społakał na tem samym miejscu tę samą babinę i z tym samym kogutem, który jednak kosztował już tylko czternaście tysięcy. Kto cierpliwy, ten korzyść z tego odnosi, gdy popołudniu wyszedł na miasto, kupił tego koguta bez targu za jedenaście tysięcy, a kto wie, czy babina nie byłaby oddała go jeszcze taniej, choć narzekala, że jej jeszcze godzinę temu daleko więcej dawano.

Gdyby w ten sposób jak z ową właścicielką

koguta, postępowała publiczność ze wszystkimi handlarzami, po niedługim czasie nauczyłaby ich rozumu, reszty zaś dokonać musiałyby władze, tępiąc na każdym kroku bez litości wyzysk i lichwę bez względu na to, czy się jej dopuszcza osobnik stojący na najniższym czy też na najwyższym szczeblu drabiny społecznej. Musiałoby to jednak być kary bardzo dotkliwe, a nie takie, jakie stosuje się obecnie. Bo i cóż robi sobie z wyroku paskarz-szynkarz, skazany dajmy na to na pięćdziesiąt tysięcy marek grzywny za nadmierne śrubowanie cen, jeśli tę grzywnę odbije sobie zaraz nazajutrz. Takiego pana powinno się z miejsca zamknąć do kozy, gdyby zaś po raz drugi został złapany na czemś podobnym, powinien bezwarunkowo stracić koncesję przemysłową. Stosowanie kar cielesnych byłoby bardzo wskazane, ale na coś podobnego nie zgodzą się czule serca naszych wielkich, niereagujące zupełnie na to, gdy lichwiarz lub paskarz znęca się nad swoim bliźnim. Złośliwi powiadają wówczas, że kruk krukowi oka nie wykole, a w rządzie paskarzy znajdują się także i ci, którzy ustawy dyktują, ale jako nietykającym nic im na razie zrobić nie można, gdy zaś minie okres tej nietykalności rzecz tymczasem pójdzie w zapomnienie.

Również skutecznym środkiem na zwalczanie paska i lichwy byłby fakt, aby żaden uczciwy adwokat nie podjął się obrony klienta, oskarżonego o występki lichwy lub paska. Ale w tej dziedzinie spostrzegać się daje dwuosobowość tkwiąca w jednym ciele. Zupełnie co innego jest pan mecenas jako gospodarz domu, inaczej zaś przedstawia się w czterech ścianach swojej kancelarii lub przed forum sądownym.

Na potwierdzenie tego możemy służyć przykładem zaczerpniętym z życia codziennego.

Rano, ledwie miał czas przełrzeć oczy, słyszy pan mecenas słodki głos swej lepszej połowy, której, aby ją odzwyczaić od niepotrzebnego wydawania pieniędzy, asygnuje codziennie odpowiednią kwotę na utrzymanie domu, że piętnaście „lisów” już nie wystarczy, trzeba dać koniecznie co najmniej dwadzieścia. To oświadczenie wyraża go ze zwykłej równowagi moralnej! A gdy połowica, aby się usprawiedliwić, tłumaczy, że mięso, bułki, chleb, cukier itd. znowu podrożały, wpada we wściekłość, tym razem nie na zarząd domu, zdaniem jego nie liczącym się z groszem, ciężko przezeń zapracowanym, lecz na paskarzy i lichwiarzy.

— Tych łotrów powinno się bez sądu powieszać!... Gdybym był sędzią, nie miałbym dla nich litości, bo to szkodniki, które raz już trzeba wyłupić!

W godzinę potem jest pan mecenas w swem biurze, gdzie przekonuje się z raptularza, że dziś o jedenastej ma rozprawę apelacyjną rzeźnika Zdzieralskiego, skazanego na miesiąc ścisłego aresztu i milion marek grzywny za nadmierne śrubowanie cen.

— To jeszcze mało dla tego wyzyskiwacza!... — mruknął do siebie, potem zabrał się do przeglądania aktów, przerywając sobie czytanie tego rodzaju epitetami, skierowanymi pod adresem swego klienta, jak: łajdak, oczajdusza, bandyta... Wreszcie znalazł się przed trybunałem, gdzie wystąpił w zupełnie innej roli i tak wymownie i przekonująco przedstawił swego klienta, jako ofiarę wyzysku innych, a dobrodzieja tych, którym raczył ochłapy sprzedawać, popierając to wszystko odpowiednimi paragrafami kodeksu, że sędziom nie pozostało nic innego, jak wydać wyrok niewinniający. Klient jest zadowolony, pan mecenas także, gdyby jednak nie wymowa pana mecenas, pan Zdzieralski nie miałby dziś tak pewnej siebie miny, choć bowiem sam uważa się także za ofiarę i dobrodzieja ludzkości, nie potrafiłby tego w tak piękne ubrać słowa i odpowiednimi paragrafami potwierdzić. Że zatem pan Zdzieralski grzeszy w ten sposób dalej, jak poprzednio, a przykład jego zachęca innych, winien jest w pierwszym rzędzie pan mecenas, w dalszym ciągu podczas obiadu wyzywający pomsty Bożej na lichwiarzy i paskarzy żywnościowych.

Byłoby także ze wszech miar wskazaniem, aby nasza prasa zabrała się na seryo do paskarzy i lichwiarzy, jak dotąd bowiem, obchodzi się z nimi zanadto delikatnie, czem ich rozzuchwala. Nawet najbardziej radykalne organy są dla swoich „wyzyskiwaczy” bardzo wyrozumiałe i puszczają płazem to, co powinno być dosadnie napiętnowane bez względu na przynależność partyjną, czy rasową danego osobnika.